

东

方

观

察

प्राच्यविद्या पत्रिका

مجلة الاسنشرق

POLSKIE TOWARZYSTWO ORIENTALISTYCZNE

PRZEGLĄD ORIENTALISTYCZNY

PANSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

WARSZAWA

4 (72)

1969

KWARTALNIK

SPIS TREŚCI

ARTYKUŁY

| | |
|--|-----|
| Witold Tyloch, <i>Problemy orientalistyki w ćwierćwieczu PRL</i> | 233 |
| Tadeusz Pobożniak, <i>Gandhi a Polska</i> | 331 |
| Mieczysław J. Künstler, <i>Ma Żung</i> | 337 |
| Stanisław Piłaszewicz, <i>Z dziejów literatury Hausa</i> | 347 |

UTWORY LITERACKIE

| | |
|--|-----|
| Abig Awakian, <i>Ten maleńki ciasny świat</i> (z ormiańskiego przełożył Bohdan Gębarski) | 353 |
| Bhasa, <i>Sen</i> (z sanskrytu przełożył Maria K. Byrski) | 359 |
| Yaşar Kemal, <i>Szerszeń</i> (z tureckiego przełożyła Małgorzata Łabęcka-Koecherowa) | 371 |

MATERIAŁY I NOTATKI

| | |
|--|-----|
| Maria Składankowa, <i>Pamięci prof. Jana Rypki</i> | 375 |
| Franciszek Tokarz, <i>W kwestii transkrypcji i spolszczania wyrazów sanskryckich oraz wyrazów prakryckich pali i ardhmagadhi</i> | 379 |
| Eugeniusz Słuszkiewicz, <i>Uwagi w kwestii spolszczania wyrazów sanskryckich</i> | 383 |
| Maria Juszkiewiczowa, <i>Japoński zespół tańca i pieśni</i> | 385 |
| Anna Kowalska-Lewicka, <i>Polska misja naukowa w Mauretanii i Senegalu</i> | 389 |
| Joanna Mantel-Niećko, <i>Polska wyprawa alpinistyczna w Etiopii</i> | 390 |
| Ludomir Rubach, <i>Dotychczasowa działalność TPP-I</i> | 391 |

RECENZJE

Z KSIĄŻEK

| | |
|---|-----|
| Anna Mrozek, <i>Koran a kultura arabska</i> (Ananiasz Zajaczkowski) | 393 |
| Abu Nasr Muhammad Ibn Turhan Ibn Uzlug al-Farabi, <i>Państwo doskonałe. Polityka</i> (Edward Szymański) | 396 |
| Thorkild Hansen, <i>Arabia Felix</i> (Alina Mrozowska) | 398 |
| Maria i Bogdan Składankowie, <i>Wyprawy krzyżowe</i> (Witold Tyloch) | 400 |
| Seven Runciman, <i>Upadek Konstantynopola 1453</i> (Jan Reychman) | 402 |
| И. М. Дьяконов, <i>Предистория армянского народа</i> (Maciej Popko) | 405 |
| К. В. Васильев, <i>Планы сражающихся царств</i> (Mieczysław J. Künstler) | 406 |

SZERSZEŃ*

Słońce. Ogromne. Jego blask przenikał wszystko — krzaki, trawy, drzewa. Wcisnął się między listowie, w każdą szczelinę kory, w dziuple drzew, wcisnął się pod kamienie, w pęknięcia gleby; wcisnął się wszędzie, wlewał się wszędzie, jak woda, jak powietrze. Natura obmywała się cała w niespotykanej dotychczas jasności. Obmywała się aż do najskrytszych ustroni i najciemniejszych zakamarków, do których nigdy nie docierało światło. A jasność była taka, że patrząc z uwagą dojrzałbyś hen, za przejrzystymi grzbietami Taurusu, nagi bezkresny step. W tej jasności wszystko stało się przezroczyste.

Rzeka prześwietlona słońcem była płynącą jasnością. W jasności tonęły ryby, raki, żółwie i białe kamyki, leżące na dnie. Nad nimi — wezbrana rzeka światła.

Przybrzeżne wodorosty, niebieskie, białe i żółte kamyki leżące na brzegu, drzewa rosnące w dolinie — wierzby, topole, platany, tamaryszki — wszystko, wszystko było wycięte z kryształu.

Nad rzeką stała wierzba, a na czubku zwisającej nad wodą gałązki siedział szerszeń — od dłuższego czasu w zupełnym bezruchu. Jego cień, niczym cień olbrzymiego ptaka, kładł się na dnie prześwietlonej rzeki. Cień skręcał się i łamał, to skrzydło tracił, to nogi, to głowę. Raz głowa wydłużała mu się niepomierne, a kiedy indziej skrzydło... Cień stawał się co chwila innym, coraz dziwniejszym stworem. To przypominał szerszenia-potwora, to psa, to rybę, to ptaka, to znów motyla lub konia... Czasem nie przypominał niczego. Czasem odpływał z prądem i znikał w oddali, czasem opadał na dno i czarną plamą przywierał do białych kamieni. Czasem zmieniał kolory. Był płowy i wprost niedostrzegalny, był czarny i gęsty jak sadza, był zwiewny, przejrzysty, jasno zielony lub koloru kawy.

Pod wodą goniły się olśniewające swą urodą ryby i płynąc w pojedynkę lub całymi stadami rozsiewały wkoło błyskotliwe drżenia. Cień dosiadał niekiedy jakiegoś grzbietu, błyszczącego misternie ułożoną łuską i harcował na nim przez chwilę, a potem skakał z niego na kamienie i znowu opadał na dno.

W wodzie odbijała się również wierzbową gałązka, jej cień kurczył się i łamał na tysiąc patyczków, albo łączył się znowu w jedną całość. Wtedy szerszeń siadał na swoim dawnym miejscu.

Drobniutka fala rozchodziła się w kręgi i zakosy i uderzała o piasek nadbrzeżny, błyskający tysiącem światła i promieni. Drobniutkie „zajaczki” i świetliste drgania

* Opowiadanie zaczerpnięte z *Türk edebiyatı*, Istanbul 1965.

igrały także po cienkiej gałązce, na której siedział szerszeń i gubiły się w gęstwinie zielonkawych liści.

Para ogromnych oczu, większych od głowy szerszenia i jakby nie jego, mieniła się różnymi barwami niczym śrut ze srebra, perły lub diamenty... Skrzydła rozpięte... Pełne niebieskich żyłek... Mienia się na błękicie... Rozwarte, chwytają w siebie światło... Błyszczą czarna sierść na grzbiecie szerszenia... Szerszeń jest bardzo wcięty w pasie, tylko patrzeć, jak się rozetnie na dwoje. Odwłok opasują mu trzy pąsowe wstęgi, usiane brązowo żółtymi włoskami. Tę część odwłoku, która ukrywała żądło, przebiega nerwowe drzenie. Szerszeń wpił się łapkami w szypułkę wierzbowego, liścia, jakby nie miał jej nigdy opuścić. Co jakiś czas wysuwał swą trąbkę, trzymał ją przez chwilę wysuniętą i wciągał do środka. Wysuwanie trąbki musiało sprawiać szerszeniowi przyjemność, bowiem za każdym razem radośnie trzepotał skrzydłami, potem je opuszczał i otulał się nimi z lubością.

Ech! Niech się dzieje, co chce!¹

Gdy na rozpiętych skrzydłach załamywało się światło, traciły swą przejrzystość, zmieniały kolor i stawały się podobne do skrzydeł motyla. A gdy się unosiły, to znów brały w siebie słońce, znów były przejrzyste i strzelały błękitnymi ogniami.

Zawiał leciutki wiatr. Gałązka zakolysała się z wolna, lecz szerszeń nie ruszył się z miejsca. Opuścił tylko na chwilę lewe skrzydło i uniósł je znowu do góry.

Po wodzie mignęło coś, jakby cień obłoku. Szerszeń błyszczący żółtym, zielonym, niebieskim i stalowym blaskiem, zmatowiał nagle i zmienił się w kawowy kłębek. Zgasły czerwone wstęgi na odwłoku, mieniające się przedtem jak górskie kryształy. Gdy cień przeminął, szerszeń stał się znowu ogromny, świetlisty i tryskał tysiącem wesołych ogników.

Prawą łapką głaskał głowę i dropiate ślepią. Gdy poczuł zmęczenie, zmieniał prawą łapkę na lewą, lewą na prawą i tak głaskał się nimi bez ustanku. Lekko poruszał skrzydełkami. Nagle zabuczał ze złością. Buczał coraz gwałtowniej...

Ech! Niech się dzieje co chce!

Tysiące drobnych fal uderzało o piaszczyste brzegi, a liście — częściowo leżące na piasku, a częściowo w wodzie — kołysały się teraz łagodnie. Tysiące drobnych i drżących „zajączków” skakało z wody i biegało po liściach, po gałęziach i po trawach zielonych, rosnących na brzegu rzeki.

Skrzydła szerszenia wibrowały tak szybko, że stały się niedostrzegalne, słyhać było tylko coraz głośniejsze brzęczenie.

Ech! Niech się dzieje, co chce!

Skrzydła, nogi, oczy, głowa, trąbka i cały tułów szerszenia — to tylko brzęcząca i bucząca kula. Co mu się stało? Oszalał? Jeszcze się wścieknie z tej złości!

Szerszeń jest z gatunku czerwonych szerszeni. Nazywa się je także „oślemi osami”. Sterczące na grzbiecie i odwłoku szerszeni czerwone włosie w bezsłoneczne dni stają się całkiem czarne.

Teraz szerszeń jest jasną, rozedrganą kulą. Drży z nim razem gałązka, na której siedzi, drży lekko, jakby chciała zmącić trochę wodę.

¹ *Nicolursa olsun!* — wers zaczerpnięty z poezji ludowej.

Czerwone szerszenie, zwane na wsi „oślemi osami”, to najokrutniejsze z szerszeniego rodu, choć są niewiele większe od dużego palca. Jeśli kilka na raz użądli człowieka, nie ma dla niego ratunku. Szerszenie gromadnie napadają na dzieci i często powodują ich śmierć...

Szerszenie... Czerwone szerszenie błyszczące złotymi pierścieniami... Ogród i szalasy w ogrodzie... Na ziemi srebrzą się łodygi, łodygi, łodygi, a przy nich leżą kawony, melony. Leżą na czarnej ziemi zielone... dropiate... czarno-zielone... biało-zielonawe... melony... kawony... Upał. Ziemia jest tak rozgrzana, że nie można po niej stąpać bosą nogą, nie można nawet dotknąć jej palcami. Pod szalassami i wszędzie dokoła leżą skórki melonów, kawonów; walają się rozdeptane i zgniłe owoce... A w każdym szalacie tysiące szerszeni; — wciskają się pod skórki melonów. Chmara czerwonych i złotych pierścieni, zielonkawych skrzydeł, stalowych błysków to opada raptem na melony, to wznosi się szybko ku górze. Czasami jakiś szerszeń zapuści trąbkę w miąższ melona i siedzi tak bez ruchu od rana. Około południa chowa nareszcie trąbkę, przeciąga się swobodnie, odbywa spacer po melonie, przystaje, przednimi łapkami długo i sumiennie wyciera łepkę i skrzydła, po tym spręża się w sobie, jakby zmarł na chwilę. Wtem odlatuje i znika nam z oczu błyskawicznie.

Rano i w południe, gdy słońce dopieka i wszystko dokoła aż dyszy z gorąca i przesiąknięte jest ciężkim zapachem melonów, wtedy odpadki i skórki owoców pokrywają się szerszeniami, które mienią się na nich żółto... czerwono... zielono...

Ech! Niech się dzieje, co chce!

Szerszeń oszalał. Słysząc go, lecz prawie nie widząc. Gałązka, na której siedzi, zgięła się na wietrze, za chwilę dosięgnie wody. Szerszeń zmoczy sobie skrzydła, wpadnie do wody, utonie... Nic go to nie obchodzi! Buczy, zagniewany na śmierć.

Nie można dotykać czerwonych szerszeni. To najzłośliwsze stworzenia. Czasami dzieci wrzucą coś do gniazda. A wtedy — ratuj się, kto może! Szerszenie puszczają się w pogoń i ścigają tak długo, aż dopadną wroga. A w gnieździe — sądny dzień...

Siedzące na owocach szerszenie oblewa się wrzątkiem. Nie giną. Nie mogą wprowadzić latać na oparzonych skrzydłach, lecz żyją jeszcze w ziemi, pod korzeniami melonów.

Spróbujcie przeciąć szerszenia w pół, w tym jego cieniutkim pasie. Natychmiast z odwłoku wysunie się żądło. Szuka kogo by ukłuć. A głowa i korpus odlatują — jak gdyby nigdy nic, jak gdyby mogły istnieć bez odwłoku. Dziwnie wygląda taki szerszeń. Jak przetrącony. Ale w jego oczach jest smutek, większy od smutku człowieka, który utracił nogi i żyje, czołgając się na brzuchu.

Ech! Niech się dzieje, co chce!

Ty cholerniku, ty wredne nasienie, co ty wyprawiasz?! Huczysz, jak odrzutowiec!

Powierzchnia wody zmarszczyła się lekko. Błyska i drży. Ryby gonią się z takim zapalem, jakby się miały pozjadać. Na przedzie mknie najmniejsza. Z pasją goni ją stado drobiazgu. No, niech ją tylko pochwyca!... Gorąco. Woda aż kipi. Jakby miała za chwilę zamienić się w gaz i wyparować. A szerszeń wścieka się i buczy, szerszenia prawie nie widać. Gałąź zachwiała się nagle. To szerszeń wzbil się do góry. Potem jak grom uderzył o wodę, znów wzleciał w górę. I tak — jak płomienna

wstęga — wzbijał się w powietrze i opuszczał nad wodę, wzbijał się i opuszczał. Okrążał gałązkę, opasując ją czerwoną spiralą.

Ech! Niech się dzieje, co chce!

To tu, to tam! To tu, to tam, szerszeń miota się i szaleje. Czerwona wstęga ognia skraca się i wydłuża, spada na wierzbę, to z wierzby na ziemię, przywiera do korzeni, zawisa na gałęzi. Chwilami zwija się i rozwija na błękitnym niebie — jak pajęczyna — czerwona nić płomienia. Szerszeń atakuje, uderza tułowiem w pień drzewa, w kamienie, w ziemię, już myślisz, że się przylepi gdzieś na dobre, że już rozbity na miazgę, gdy za chwilę wdziera się jak oszalały w zieleń, wdziera się w błękit i w srebro, czerwonym płomieniem wdziera się w przejrzystość i w blask i tam wiruje... wiruje... wiruje...

Ech! Niech się dzieje, co chce!

W pewnej chwili za znikającym szerszeniem pomknęły dwa inne. Teraz migają trzy czerwone wstęgi, trzy czerwone płomienie, to mkną jeden za drugim, to krążą wokół siebie, ciskając błyskawice.

Na tym odludziu buczenie trzech szerszeni zagłusza wszelkie inne głosy. Szerszenie — raz bliżej, raz dalej — zakreślają duże, to znów drobne kręgi. To giną z oczu i słyszą tylko ich buczenie, to znów łagodnie, bez pośpiechu spuszcza się ku ziemi, to znów leniwie wznoszą się ku górze.

Dwa szerszenie złączyły się w powietrzu. Przez chwilę trwały w górze, nieruchome. Podwójna jedność. Zamarłe skrzydła, łapki i tułowie. Teraz opadają powoli. Rozłączają się. Czas jakiś krążą wokół siebie obwążując się. Ten trzeci wpadł w szal. Rzuca się na nie, to tego atakuje, to tamtego. Aż się zakotłowało w powietrzu. Walczą. Wtem dwa szerszenie wzbily się w górę, wysoko, wysoko, aż na tle błękitu widać tylko dwa małe błyski, nie większe od łebka od szpilki, wreszcie zniknęły i one. Trzeci szerszeń krążył nad gałązką wierzbową i szumiące skrzydła rozwiesił nad wodą. Opuszczał się, wachał gałązkę, jakby chciał na niej spocząć i znowu podlatywał w górę.

Ech! Niech się dzieje, co chce!

Szerszeń usiadł wreszcie na swoim dawnym miejscu na gałązce. Wibrowanie skrzydeł wygasło powoli. Staną się one znowu uchwytnie dla oka. Buczenie prawie ucichło, skrzydła znieruchomiały. Zatrzymały się najpierw w pozycji pionowej, potem poziomej, aż złożyły się miękko wzdłuż ciała.

Szerszeń był zmęczony. Drzemał.

Lekki wietrzyk kołysał gałązką, a szerszeń huśtał się na niej powoli. Ciepło. Szerszeń się rozmarzył. Cała jego istota odczuwała teraz błogość i spokój odprężenia.

Nie wiedzieć dlaczego, gałązka na chwilę pogrążyła się w wodzie.

Ech! Niech się dzieje, co chce!

Szerszeń został na wodzie. Płynie. Jego cień, pięć razy większy od niego samego, sunie po dnie. Szerszeń chce się ratować. Trzepocze mokrymi skrzydłami, buczy, rozpryskuje wodę, ale nie może podfrunąć. Nie może.

Przez pewien czas biciem skrzydeł utrzymywał się na powierzchni aż wpłynął pod most. Widać w cieniu zabrakło mu sił, bo rozciągnął się bezwolnie na fali. Leżał na prawym boku, prawe skrzydło pogrążyło się w wodzie. Lewe było mokre, ale sterczało nad wodą jak miecz. I tak już pozostało.